

SUSAN EE

Angelfall

OPowieść PENRYN O KOŃCU ŚWIATA



SUSAN EE

Angelfall



OPOWIEŚĆ PENRYN O KOŃCU ŚWIATA

Przełożył Jacek Konieczny

The logo for the publisher 'Young'. It features the word 'Young' in a stylized, cursive script. To the left of the 'Y' are three small, stylized floral or leaf-like motifs.

TYTUŁ ORYGINAŁU:

Angelfall

Redaktorka prowadząca: Ewelina Czajkowska

Wydawczynie: Agnieszka Nowak, Maria Mazurowska

Redakcja: Agnieszka Trzebska-Cwalina

Korekta: Olga Gorczyca-Popławska, Ewelina Czajkowska

Projekt okładki: © Urszula Gireń

DTP: pagegraph.pl

Text copyright © 2012 by Feral Dream LLC

Copyright © 2025 for the Polish edition by Young an imprint of Wydawnictwo
Kobiece Agnieszka Stankiewicz-Kierus sp.k.

Copyright © for the Polish translation by Jacek Konieczny, 2025

Ostrzeżenie

W książce znajdziecie brutalne opisy walk i przemocy, a także sceny,
które mogą odrzucić niektórych czytelników.

Wszelkie prawa do polskiego przekładu i publikacji zastrzeżone. Powielanie
i rozpowszechnianie z wykorzystaniem jakiejkolwiek techniki całości bądź
fragmentów niniejszego dzieła bez uprzedniego uzyskania pisemnej zgody
posiadacza tych praw jest zabronione.

Wydanie I

Białystok 2025

ISBN 978-83-8371-672-5

Grupa Wydawnictwo Kobiece | www.WydawnictwoKobiece.pl





Rozdział 1

Jak na ironię, od czasu ataków zachody słońca zrobiły się wyjątkowo urokliwe. Za oknem budynku, w którym się zatrzymałyśmy, niebo płonie oranżami, czerwieniami i fioletami. Wymieszane, przypominają nieobrane mango. Chmury tak intensywnie rozgorzały barwami zachodzącego słońca, że niemal ogarnia mnie lęk, czy i my, przyczajone poniżej, nie zajmiemy się ogniem.

Czuję, że ciepło ucieka z mojej twarzy, ale teraz całą uwagę koncentruję na dłoniach. Ostrożnie zasuwam zamek plecaka – nie chcę, żeby zaczęły się trząść.

Wkładam ulubione buty. Stały się takie, kiedy Misty Johnson zwróciła uwagę na urodę pionowych pasków skóry przyszytych w kilkucentymetrowych odstępach po bokach. Misty jest – była – cheerleaderką i słynęła z wyrobionego gustu w kwestiach mody. Jej komentarz uznałam za wyraz uznania dla mojego wyczućcia smaku, mimo że buty zostały wyprodukowane przez firmę specjalizującą się w obuwiu trekkingowym, a ich główna zaleta to wytrzymałość. Teraz są moimi ulubionymi butami, ponieważ skórzane paski wprost idealnie nadają się do przytroczenia tam noża.

Wsuwam kilka naostrzonych noży kuchennych do kieszeni wózka inwalidzkiego Paige. Po krótkim wahaniu chowam kolejny w wózku sklepowym mamy. Kiedy nie patrzy, wtykam go między stos Biblii i puste butelki po napojach gazowanych, na koniec przykrywam jeszcze ubraniami. Mam nadzieję, że w ogóle go nie zauważy.

Zanim zapadnie zmrok, pcham wózek inwalidzki Paige w kierunku windy. Paige spokojnie przejechałaby przez korytarz sama, ponieważ zawsze wołała tradycyjne wózki od elektrycznych, ale widzę, że czuje się bezpieczniej ze mną u steru. Oczywiście nie ma sensu korzystać z windy, no chyba że ktoś byłby gotów zaryzykować utknięcie między piętrami, kiedy znów wysiądzie prąd.

Pomagam Paige wstać i znoszę ją na plecach trzy piętra. Mama sprowadza wózek po schodach. Niepokoi mnie, że kości siostry prześwitują przez skórę. Waży mało nawet jak na siedmiolatkę, a stopień jej wychudzenia przeraża mnie bardziej niż wszystko inne razem wzięte.

W holu na parterze sadzam Paige z powrotem na wózek. Odgarniam jej kosmyk czarnych włosów za ucho. Ma wysokie kości policzkowe i ciemne oczy, twarz wydaje się lekko trójkątna, jakby lisia. Za dziesięć lat mała zapewne całkowicie upodobni się do mnie, ale i tak nikt by nas nie pomylił, bo różnimy się od siebie tak bardzo jak miękkie od twardego, ciepłe od zimnego. Musi być przerażona, a mimo to dostrzegam cień uśmiechu w leciutko uniesionych kącikach ust; nawet w takiej chwili myśli o mnie, a nie o sobie. Odwzajemniam uśmiech, starając się, by wyglądał pogrzipiająco.

Wbiegam po schodach, aby pomóc mamie w taszczeniu wózka sklepowego. Siłujemy się z nieporęcznym kolosem, który z potwornym łoskotem podskakuje na kolejnych stopniach. Dopiero teraz doceniam to, że budynek jest pusty i nikt nas nie

słyszy. Wózek mamy został wypełniony opróżnionymi butelkami, starymi kocykami Paige, czasopismami i Bibliami, koszulami, które tata zostawił w szafie, kiedy się wyprowadził, oraz oczywiście największym skarbem: pudełkami ze zgniłymi jajami. Mama wypchała nimi również kieszenie swetra i kurtki.

Chętnie zostawiłabym wózek, ale scysja z mamą trwałaby dłużej i byłaby głośniejsza niż sprowadzenie go po schodach. Mam nadzieję, że czekającej na nas Paige nie przydarzy się nic złego. Robię sobie wyrzuty, że nie sprowadziłyśmy wózka sklepowego w pierwszej kolejności. Paige czekałaby w bezpieczniejszym miejscu na górze, a nie w holu na parterze.

Nie dotarliśmy jeszcze do drzwi prowadzących na ulicę, a jestem już spocona i strasznie podenerwowana.

– Tylko pamiętajcie – mówię. – W razie kłopotów ruszajcie w stronę El Camino. Na wysokości Page Mill skróćcie na wzgórze. Gdyby coś nas rozdzieliło, spotkamy się na szczycie, dobrze?

Gdyby coś nas rozdzieliło, pewnie byśmy się już nigdy nie zobaczyły, ale muszę zachowywać pozory optymizmu, ponieważ niewiele więcej nam pozostało.

Przykładam ucho do drzwi. Cisza. Nie słyszę wiatru, ptaków, samochodów, głosów. Uchylam ciężkie skrzydło i wyglądam przez wąską szczelinę.

Ulice są puste, jeśli nie liczyć porzuconych samochodów tarasujących wszystkie pasy. W przygasających promieniach słońca beton i stal spłowiły, przybierając jednolity szarawy odcień.

Dzień należy do uchodźców i gangów, w nocy wszyscy wracają do kryjówek i do świtu znikają z ulic. Ludzie boją się istot nadprzyrodzonych. Wszyscy śmiertelnicy – drapieżcy i ofiary – ulegają pierwotnym lękom i kryją się przed ciemnością. W nowym świecie nocą zawładnęły istoty, których obawiają się nawet najgroźniejsze gangi.

A przynajmniej taki układ panuje w tej chwili. Prędzej czy później co bardziej zdesperowani zaczną korzystać z osłony nocy, nie bacząc na zagrożenie. Mam nadzieję, że wybrałyśmy takie rozwiązanie jako pierwsze i będziemy jedynymi ludźmi na ulicy. Choćby z tego powodu, abym nie musiała wysłuchiwać protestów Paige, że nie udzielamy pomocy obcym.

Mama chwyta mnie za ramię i też wygląda na ulicę. W jej zwężonych oczach kryje się strach. Rok temu odszedł tata, a ona tyle się od tego czasu napłakała, że ma stale opuchnięte powieki. Panicznie boi się nocy, ale na to już nic nie poradzę. Zapewniam ją, że wszystko będzie dobrze, uspokajające kłamstwo grzęźnie mi jednak w gardle. Pocieszenie mamy nie ma sensu.

Biorę głęboki wdech i otwieram drzwi na oścież.



Rozdział 2

Z miejsca ogarnia mnie poczucie, że jestem zupełnie odsłonięta. Napinam wszystkie mięśnie, jakby lada chwila ktoś miał zacząć do mnie strzelać.

Chwytam wózek inwalidzki Paige i wyjeżdżam na ulicę. Rozglądam się po niebie, potem na boki, niczym króliczek uciekający przed drapieżnikami.

Cienie szybko pogłębiają się między okolicznymi budynkami, samochodami i krzewami, których nikt nie podlewał od sześciu tygodni. Na bloku po przeciwnej stronie ulicy graficciarz namalował złowrogiego anioła z wielkimi skrzydłami i mieczem. Długa szczelina w murze przebiega zygzakiem przez twarz, nadając jej opętańczy wygląd. Poniżej jakiś domorosły poeta nagryzmoilił: „Kto nas ustrzeże przed stróżami?”

Wzdrygam się, słysząc terkotanie wózka sklepowego mamy, która wyprowadza go właśnie na chodnik. Pod naszymi stopami chrzęści roztluczone szkło. Ukrywałyśmy się w budynku dłużej, niż należało. Ktoś powybił szyby na parterze.

A w drzwi wbił pióro.

Oczywiście nie wierzę, że jest to prawdziwe pióro ze skrzydła anioła, ale wyraźnie taka była intencja. Żaden z nowych

gangów nie jest dostatecznie potężny ani bogaty, aby upolować anioła. Przynajmniej na razie.

Pióro zanurzone w czerwonej farbie, która ścieka po drewnianych drzwiach. Mam nadzieję, że naprawdę jest to farba. W ostatnich tygodniach widywałam ten symbol w supermarketach i aptekach – gangi oznaczają w ten sposób budynki, ostrzegając samotnych uciekinierów, że wkrótce przybędą ponownie, aby splądrować resztę. Nas już na szczęście tutaj nie zastaną. Z innymi gangami rywalizują, kto oznaczy większe terytorium.

Dobiegamy do najbliższego samochodu i kucamy.

Nie muszę się oglądać, ponieważ słyszę turkotanie kół wózka mamy. Zerkam w górę i w bok. W pobliskich cieniach nie dostrzegam żadnego ruchu.

Rodzi się we mnie nadzieja – po raz pierwszy, odkąd obmyśliłam ten plan. Kto wie, może dzisiejsza noc będzie należała do spokojnych. Bez gangów grasujących po ulicach, bez nadjedzonych szczątek zwierząt znajdujących nad ranem, bez krzyków odbijających się echem w ciemnościach.

Nabieram coraz większej pewności siebie. Przemieszczamy się od samochodu do samochodu w szybszym tempie, niż zakładałam.

Skręcamy w El Camino Real, główną arterię przebiegającą przez Dolinę Krzemową. Według mojego nauczyciela języka hiszpańskiego *el camino real* znaczy „królewska droga”. Teraz nazwa ta wydaje się o tyle zasadna, że lokalni możnowładcy – założyciele Google’a, Apple’a, Yahoo, Facebooka i innych podobnych firm – zapewne utknęli na niej jak wszyscy inni.

Skrzyżowania są zatarasowane porzuconymi samochodami. Jeszcze sześć tygodni temu w Dolinie Krzemowej korki w zasadzie nie występowały. Kierowcy wykazywali się tu zawsze

wielką kulturą jazdy. Ale o realności apokalipsy przekonuje mnie co innego: chrzest smartfonów pod naszymi stopami. Tylko koniec świata mógł skłonić miłośników gadżetów do porzucenia urządzeń na ulicy. Kiedyś takie postępowanie uznano by niemal za świętokradztwo, dziś telefony są tylko zbędnym balastem.

Wcześniej rozważałam, czy bezpieczniej nie byłoby poruszać się bocznymi uliczkami, ale doszłam do wniosku, że odsłoniętych miejsc unikają zapewne również gangi. Gdybyśmy wkroczyły na ich teren, nawet w nocy moglibyśmy zaryzykować przejęcie wózka wypełnionego łupami. Bo niby skąd mielibyśmy wiedzieć, że w środku znajdują się puste butelki i lachmany.

Mam akurat wyjrzeć zza SUV-a, aby sprawdzić kolejny odcinek drogi, kiedy Paige wsadza głowę do środka przez uchylone drzwi i bierze coś z siedzenia.

Batonik. Nieotwarty.

Leżał w rozsypanej stercie ulotek. Najrozsądniej byłoby zabrać batonik, uciec i zjeść go później w bezpiecznym miejscu, ale jak przekonałam się w minionych tygodniach, żołądek potrafi czasami przejąć kontrolę nad umysłem.

Paige rozdziera opakowanie i rozłamuje batonik na trzy części. Rozpromieniona podaje nam po jednej. Jej dłoń drży z głodu i podniecenia, mimo to dla siebie zostawia najmniejszy kawałek.

Przełamuję swój i oddaję połowę Paige. Mama robi to samo. Paige posyła nam zawiedzione spojrzenie, jakbyśmy odrzuciły podarunek. Przytykam palec do ust i spoglądam na nią srogo. Ociągając się, bierze od nas po kawałku.

Paige została wegetarianką w wieku trzech lat po wizycie w zoo. Choć była jeszcze dzieckiem, potrafiła skojarzyć indyka, który rozbawił ją w parku, z mięsem na kanapkach. Nazywaliśmy ją naszą dalajlamą. Dopiero kilka tygodni temu zaczęłam

ją zmuszać, aby jadła wszystko, co tylko znajdziemy. A nic lepszego od batonika nie mogłyśmy jej teraz zaoferować.

Przy pierwszym kęsie chrupiącej masy nasze twarze rozjaśnia poczucie ulgi. Cukier i czekolada! Kalorie i witaminy!

Z fotela w samochodzie zsuwa się uniesiona podmuchem wiatru kartka. Przed oczami miga mi nagłówek: „Radujcie się! Pan nadchodzi! Przyłączcie się do nowego początku i jako pierwsi wstąpcie do rajul”.

Ulotkę przygotował jeden z nowych ruchów religijnych, które po atakach wykwitły jak pryszcze na przetłuszczonej skórze. Ulotka zawiera niewyraźne fotografie płonących miast: Jerozolimy, Mekki i Watykanu. Ktoś wyciął pojedyncze klatki z materiałów telewizyjnych i wydrukował je na domowym sprzęcie. Ulotkę wykonano w wielkim pośpiechu.

Pochłaniamy resztę batonika, ale nerwy nie pozwalają mi nacieszyć się jego słodyczą. Dotarliśmy niemal do Page Mill Road, która zaprowadzi nas przez względnie słabo zaludnioną okolicę ku wzgórzom, gdzie w mojej ocenie powinnyśmy mieć znacznie większe szanse na przeżycie. Zapadła głęboka noc, jest pełnia, a opuszczone auta lśnią upiornie w blasku księżyca.

Wokół panuje dojmująca cisza, co budzi we mnie osobliwie duży niepokój. Jakieś dźwięki mimo wszystko powinnam słyszeć – truchtanie szczurów, szelesty ptaków na drzewach albo cykanie świerszczy. Nawet wiatr boi się poruszyć.

Pośród tej ciszy wózek mamy dźwięczy ze zdwojoną siłą. Żałuję, że nie zdążyłam jej przekonać do zostawienia tego żelastwa. Zaczyna ogarniać mnie niecierpliwość, jakbym wyczuwała ciszę przed burzą. A wystarczy dotrzeć do Page Mill.

Ze zdwojoną energią popycham wózek z siostrą, lawirując między samochodami. Za plecami słyszę rżenie mamy, która z coraz większym trudem łapie powietrze. Paige zachowuje się tak cichutko, jakby wstrzymała oddech.

Coś białego opada powoli z nieba i ląduje na Paige. Siostra chwytła to między palce i odwraca się, żeby mi pokazać. Pobladła, oczy ma jak spodki.

W dłoni trzyma kawałek pierza. Śnieżnobiałe piórko. Podobne do tych, które wylazą czasem z puchowej koldry, tylko większe.

Z mojej twarzy również odpływa krew.

Czyżbyśmy miały aż takiego pecha?

Przecież one atakują głównie duże miasta. Dolina Krzemowa to płaski pas niskich budynków biurowych oraz przedmieść położonych między San Francisco i San Jose. San Francisco już padło, więc gdyby chciały przeprowadzić kolejne ataki w okolicy, wybrałyby raczej San Jose, a nie dolinę. Nad naszymi głowami przeleciał pewnie jakiś ptak i tyle. I tyle.

Mimo to ogarnia mnie panika.

Zmuszam się, żeby spojrzeć w górę. Widzę tylko bezkresne czarne niebo.

Chwilę później coś przykuwa moją uwagę. Kolejne, większe pióro opada powoli ku mojej głowie.

Kropelki potu zbierają mi się na brwiach. Ruszam pędem przed siebie.

Z tyłu wózek mamy klekocze jak szalony. Nie muszę wyjaśniać, co się stało, ani jej ponaglać. Żeby tylko któraś z nas nie upadła, żeby tylko wózek Paige się nie wywrócił. Ale przecież nie mogę się zatrzymać. Musimy znaleźć schronienie. Szybko, szybko, szybko.

Jakiś wielki ciężar niespodziewanie zgniata samochód hybrydowy, przy którym chciałam przycupnąć. Rozlega się tak straszliwy huk, że niemal wyskakuję z butów. Na szczęście hałas zagłusza wrzaśnięcie mamy.

Widzę zarys płowych kończyn i śnieżnobiałych skrzydeł.

Anioł.

Muszę zamrugać, aby się upewnić, że jest prawdziwy.

Nigdy wcześniej nie widziałam anioła na żywo. Wszyscy pamiętamy oczywiście emitowane na okrągło nagranie złoto-skrzydłego Gabriela, Posłańca Bożego, który padł pod gradem kul na gruzach Jerozolimy. Ale kiedy oglądało się te sceny w telewizji, choć nadawano je bez przerwy na wszystkich kanałach, można było sobie wmawiać, że nie są realne.

Teraz ponad wszelką wątpliwość mam przed sobą anioła z krwi i kości. Jedną z uskrzydłych istot. Anioła Apokalipsy. Nadprzyrodzoną istotę, której pobratymcy starli na proch współczesny świat i wymordowali miliony, może nawet miliardy ludzi.

A teraz jedna z tych przerażających istot wylądowała kilka metrów ode mnie.